NUMER 31. DNIA 3-go SIERPNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Tołstoj o sztuce.

I.

Nie tak dawno wyszła książka Tołstoja pt.: „Co to jest sztuka“ — którą tłómacz i naszemu językowi przyswoił. Obiegła Europę, wywołała uroczyste rozstrząsania i odpowiedzi, to bowiem, co w sobie przynosiła, było dalekiem, a nawet wprost przeciwnem temu, z czem my, „ukształceni Europejczycy“, zrośliśmy się i zżyliśmy się od wiek wieków. Zdawałoby się, że ten siwy, olbrzymi starzec przebywa w swej Jasnej Polanie jakby poza nawiasem myśli europejskiej i wskutek tego ma zupełne inne widzenie współczesnych kwestji życia i ducha, aniżeli my wszyscy. Stąd w każdym jego poglądzie można z góry spodziewać się zawsze czegoś takiego, co nas samem swem przeciwieństwem składu myśli i pojęć uderzy, jak obuchem.

Podobnie rzecz się ma i ze sztuką. Oto żąda Tołstoj, by przy rozważaniu jej istoty i zadania usunięto ni mniej ni więcej, tylko pojęcie piękna. „Piękność nie może być miarą wartości sztuki“. Co więcej, piękno jest dla niego w samem swem pojęciu niemal czemś grzesznem — „jest podstawą wszystkich naszych namiętności“. Cały chaos i zamęt, panujący w określaniu istoty sztuki, powstał stąd, że za jej podstawę wzięliśmy budzenie uczuć piękna, t. j. przyjemności, jaką sprawia rzecz jakaś, gdy się podoba.

Grekom było to pojęcie, tak jak my się niem posługujemy, zupełnie obce. T. zw. estetyka jest wynalazkiem świeżym, bez tradycji, który datuje się od jakich 150 lat (Baumgarten). Zaczęliśmy oceniać sztukę ze stanowiska rozkoszy, jaką ona daje — zamiąst zapytać o jej cel. I dopiero, gdy się usunie to gmatwające rzecz całą pojęcie piękna, istota sztuki ukaże się we właściwem świetle.

Czemże jest sztuka? Tołstoj podaje własną definicję: „Sztuka jest czynnością ludzką, na tem zasadzającą się, iż ktoś świadomie, przy pomocy pewnych znaków zewnętrznych, komunikuje innym uczucia, przez się doznawane, a ci inni zarażają się temi uczuciami i przechodzą je sami“.

I Tołstoj oświetla to określenie przykładem: Chłopiec, który, doznawszy strachu w spotkaniu z wilkiem, opowiada następnie tę przygodę towarzyszom i plastyką i dokładnością opisu „zaraża“ swych słuchaczy tem samem uczuciem — jest artystą — tworzy dzieło sztuki.

Sztuka pośredniczy w przenoszeniu uczuć. Za jej sprawą uczestniczymy w uczuciach pokoleń współczesnych i minionych. Skoro zaś jej czynność polega na „zarażaniu“ uczuciami, to oczywistem jest, że jej działanie w skutkach jest niezmiernie doniosłe i ważne.

Nie każda sztuka jest dobrą. Ocena jej zależy od tego, o ile ona pozostaje w zgodzie z każdoczesnemi pojęciami ludzi na dobro i zło, a określenie tych pojęć zawiera w sobie zawsze religja — ogólniej mówiąc, świadomość religijna danego czasu. Tylko ta sztuka, która wyraża uczucie, wypływające ze świadomości religijnej danej epoki, jest dobrą.

Taka świadomość religijna istniała po wiek wieków w każdem społeczeństwie, istnieje też bardzo wyraźnie i dziś. „Świadomość religijna naszych czasów w najogólniejszem, praktycznem jej zastosowaniu jest świadomością tego, że nasze dobro i materjalne i duchowe i pojedyncze i ogólne i czasowe i wieczne zawiera się w bratniem życiu wszystkich ludzi, w naszem pełnem miłości zespoleniu się z sobą“.

Treścią sztuki dobrej, sztuki chrześcijańskiej naszych czasów są takie tylko uczucia, które przyczyniają się do zjednoczenia ludzi z Bogiem i pomiędzy sobą. Tak pojęty zakres sztuki bynajmniej nie jest ciasny — owszem zawiera nieograniczone pole uczuciowości. Dalszym wynikiem tego, co wyżej powiedziano, jest to, że skoro sztuka ma przyczyniać się do zjednoczenia ludzi, to przedmiotem jej winne być najprostsze uczucia życiowe, wszystkim dostępne. I tu wyłania się drugi postulat Tołstoja: Sztuka winna być zrozumiałą dla wszystkich. „Tylko sztuka zniekształcona może być niezrozumiałą“.

Posiadając takie pojęcie sztuki, spogląda Tołstoj z natury rzeczy wzgardliwie na całą współczesną twórczość. Sztuka dzisiejsza nie jest nawet w jego rozumieniu sztuką — tylko jej podrobieniem. Obchodzi się też brutalnie i bezlitośnie z Boecklinem, Mallarme'm, Wagnerem, Stuckiem, nawet z Verlaine'm. Utwory Sofoklesa, Eurypidesa, Eschylosa, są „bezsensowne“. „Sąd ostateczny Michała Anioła“ niedorzeczny. „Faust“ to tylko naśladownictwo sztuki. Szuman — cały, 9-ta symfonja Beethovena dzieło sztuki złej i t. d. Mniej nas tu obchodzą te opinje i sądy, które nie tyle są może konsekwencją poglądów rosyjskiego ewangelisty, jak raczej wypływem indywidualnych jego uprzedzeń. Dodam tylko, że Tołstoj jest niemniej surowy i dla siebie.

Autor „Anny Karenin“ z tego wszystkiego, co napisał, uznaje za sztukę dobrą tylko dwa małe opowiadania, z pewnością ogółowi czytelników nie bardzo znane: „Bóg prawdę widzi“ i „Jeńca Kaukazkiego“. Reszta to sztuka zła.

II.

Tak Tołstoj myśli o sztuce. Nie trudno odrazu dostrzec, ile w tem zboczeń, ile krzywizn paradoksalnych. Samo założenie jest już fałszywe, co się okazuje najlepiej na podanym przykładzie. Chłopiec, tworzący epos ze swej prawdziwej czy też fikcyjnej przygody z wilkiem, jest niewątpliwie artystą. Jeśli jednak istotą sztuki ma być zarażanie uczuciami, których sam twórca doznaje, to można wątpić, czy towarzysze chłopaka, który im zaszczepia takie przykre uczucie, jak strach, wysłuchaliby go spokojnie — czy wogóle daliby mu dokończyć opowiadania i nie obeszliby się z nim nie bardzo grzecznie, jako z niewczesnym żartownisiem. A jednak można wierzyć, że wysłuchali go nawet z przyjemnością. Może więc to, co on im poddawał, nie było samem uczuciem lęku, lecz tylko wyobrażeniem tego uczucia? i może tak się rzecz ma z każdem dziełem sztuki? Toby było zupełnie czemś innem, aniżeli fakt „zarażania“. Nie podejmuję dalej tej kwestji, która należy do ścisłej psychologji, wystarczy samo stwierdzenie zaszłej omyłki w określeniu. A jest ona dość ważną, bo z nią pryska jedno z ogniw łańcucha nawiązanego przez Tołstoja. Jeśli zaś chybia samo założenie w swym punkcie ciężkości, to upadają i wszelkie dedukcje, z niego wyprowadzone. Tu zaś upadają one i same przez siebie.

Bo skąd można mówić, że cała treść dążeń idealnych dzisiejszego czasu, czyli nazwanej tak przez Tołstoja „świadomości religijnej“, skupia się w idei braterskiego zjednoczenia wszystkich ludzi? Skąd wogóle można z całą ścisłością stwierdzić, jaka jest świadomość religijna pewnego okresu, skoro ona podlega ciągłemu rozwojowi i zmianie? A potem, czy zacieśnienie sztuki do uczuć wynikających ze świadomości religijnej danej chwili, nie czyni jej samej tylko chwilową? Świadomość religijna doby jutrzejszej jest sprzeczną ze świadomością religijną dnia dzisiejszego. Sztuka, licząca się z tem jutrem, dziś musi być jeszcze złą!

A wreszcie żądanie sztuki dla wszystkich. Wydaje się oczywistem, że jak pewne twierdzenia naukowe wymagają do zrozumienia stosownego wykształcenia umysłowego, tak samo pewne stany uczuciowe potrzebują odpowiedniego wyrobienia zdolności odczuwania. Same uczucia, np. litość, gniew etc. — są powszechne, doznaje ich każdy człowiek, ale motywa ich są zmienne, i jeden i ten sam fakt, jeden i ten sam związek ludzi i rzeczy może wywołać u jednego jakieś uczucie, drugiego zaś pozostawi głuchym, dla tego będzie zupełnie niezrozumiałem, jak można w takim wypadku tak czuć. Jako przykład może służyć smutna i tragi-

czna strona komizmu, która nie dla wszystkich jest w pojęciu dostępna.

Nie myślę wytykać dalej słabych punktów tych rozumowań. Zbyt widoczne i zbyt łatwe do uchwycenia. Chodzi o rzecz zupełnie inną.

Ci wszyscy, którzy oburzali się i oburzają się na azjatyckie sądy Tołstoja o sztuce, pomijali w swych protestach rzecz nieskończenie ważniejszą. Książka ta powstała nie w jednym momencie, ale w ciągu lat 15 — otwiera jaśniejsze drogi do zrozumienia tła psychicznego ewangelisty i proroka z Jasnej Polany. Jej treść wyrosła z pewnej organizacji duchowej i jest związana z jej charakterem, nosi odbicie — może tylko zbyt jaskrawe — jej właściwości rasowych.

„Żeby dokładnie określić sztukę, trzeba przedewszystkiem przestać widzieć w niej środek wywoływania przyjemności, lecz zapatrywać się na nią, jako na jeden z warunków życia ludzkiego“. Otóż to właśnie!

A gdzieindziej czytamy, że „sztuka powinna być w życiu, aby je ulepszać“. Czy rozumiecie to? To znaczy, że sztuka jest o tyle coś warta, o ile przez nią życie staje się lepszem, o ile ona życiu pomaga — dodajmy: życiu nie jednostkowem, ale życiu ogółu.

I oto naraz w tem zdaniu rozwidnia nam się zupełnie odrębny pogląd na świat, który w oznaczeniu potrzeb i dróg życia, w szacowaniu idealnych jego dóbr, ma swój osobny porządek, swoją osobną hierarchję, a w niej normą naczelną są wartości moralne.

W porządku tym życie człowiecze i jego moralne dobro przoduje przed wszystkiemi wartościami rzekomo absolutnemi. Rodzaj pojmowania spraw życia wprost przeciwny intelektualnemu poglądowi na świat, na którego tle tak potężnie i z taką bujnością rozgałęzienia się rozwinęła się zachodnio-europejska kultura ludów szczepu łacińskiego. Nic lepiej nie charakteryzuje tego sposobu myślenia, jak zmyślona rozmowa z malarzem francuskim, zacytowana przez Tołstoja samego przy sposobności uwag nad sztuką francuską.

Pewnego artystę, który namalował procesję, pyta Tołstoj:

— Uważa Pan ten obrzęd za użyteczny? — Nic o tem nie wiem. Celem moim malować życie. — Lecz przynajmniej kocha pan ideę przedstawionego tematu? — Nic o tem nie wiem. — Więc nie nawidzisz pan tych ceremonij? — Bynajmniej. „I oto — powiada Tołstoj — artysta o wysokiej kulturze, który maluje życie, nie rozumiejąc jego myśli i nie kochając, ani nie nienawidząc jego objawów!“

Pisarze francuscy natrząsali się z Tołstoja. Zdawało im się, że domaga się on zwykłej prostej tendencji, gdy tymczasem szło mu o coś nieskończenie wyższego: by duch ludzki przedewszystkiem tam, gdzie on się wyraża w sztuce, wchodził w sam rdzeń życia, w jego wirujące kręgi, — aby był z niem ściśle zrośnięty.

Na nic wszelkie odosobnienie się w „wieżach z kości słoniowych“, wystawionych z nikłego upodobania w pięknie toczonych linjach lub z mdłej ciekawości obserwowania i rozumienia wszystkiego dla samej przyjemności intelektualnej w rozumieniu, na nic wszelkie jakieś absolutne idealne wartości, zasadzające się tylko na sobie samych — jeśli one nie zespalają się ze sprawami życia.

„Sztuka nie jest przyjemnością, pociechą lub zabawą; sztuka jest rzeczą wielką. Sztuka jest organem życia ludzkości“...

Który z tych porządków, który ze sposobów odnoszenia się do życia — intelektualny czy moralny — jest wyższy? Zapewne żaden, — może wyższą ponad nie byłaby ich całkowita synteza, nie pora tu nad nią snuć rozważania. W każdym razie obok starej, rozwiniętej kultury pierwszego, drugi tworzył łożysko, którem oddawna przepływa głęboki nurt ducha ludzkiego. I nasza umysłowość, jej punkt widzenia życia i świata, jej charakter, jak o tem świadczy własna literatura, nie jest mu bynajmniej daleką...

Moralny radykalizm Tołstoja ogarnia oczywiście również i naukę. Podporządkowuje ją życiu, tak samo, jak sztukę. Dociekanie myśli dla samego dociekania, to dla niego również tylko „mdła ciekawość“. „Właściwa prawdziwej nauce działalność nie jest zbadaniem tego, co nas przypadkiem zainteresowało, lecz tego, jak powinno być urządzone życie ludzkie“. Idea nauki dla nauki podobnie jak sztuka dla sztuki, jest tą, któraby chciał z życiowych pojęć ludzkich wymieść jak najprędzej, jako bezpodstawny i szkodliwy przesąd. I nie można nic rzec: jest w tej drastyczności radykalizmu pewna konsekwencja. Obie te ideje w zasadzie łączą się analogicznie w jednym punkcie: odpowiadają intelektualnej for-

mie kultury ducha ludzkiego — zupełnie mu obcej, wrogiej i nienawistnej.

Tyle o Tołstoju, tyle o tej książce. Warto ją przeczytać, nie celem przyswojenia sobie jej poglądów, dziwacznych, z tem co nam tradycja umysłowa niesie sprzecznych, lecz by chociaż na chwilę wżyć się w grunt duchowy, z którego powstały, przejść przynajmniej na moment na inny punkt widzenia i przyjrzeć się różnym znakom pytania i wątpliwościom, które tylko stamtąd są widzialne.

t. sob.

EMMA JELEŃSKA

3) Z MIŁOŚCI.

Dzwonek przerwał jej rozmyślania. Franciszek przywoził kufry. Więc nastąpiło tupanie, otwieranie i zamykanie drzwi, opłacanie dorożkarza, szukanie kluczyków. Aż się znowu uspokoiło wszystko, i usiedli przy herbatnim stole. Karol położył przy sobie ogromną paczkę gazet i listów.

— A ci pan nalazł list od pana Kneza? — spytał Franciszek — na biórku...

— Nie! gdzie jest? kiedy przysłano?

Franciszek szukał już w gabinecie.

— Dzisiaj zrania był sam pan przyszedłszy — odpowiedział z drugiego pokoju — pytał się, kiedy państwo wrócą, a jak dowiedział się, że dzisiaj, tak zaraz siadł i napisał. Ot i jest.

Karol rozerwał kopertę, przeczytał — spojrzał na zegarek — i wstał od stołu.

— Jeszcze zdążę — rzekł, namyślając się. — Trzeba być.

— Idziesz? Dokąd? Jakto! idziesz naprawdę? — spytała Wanda, wstając także.

W głosie jej był smutek. Ale on tego nie zauważył. Wołał Franciszka, aby na nim ubranie trochę oczyścił, przyczesywał wąsy i poprawiał krawat.

— Cóż to za nagły interes? — spytała ona, zbliżając się. — Nic złego przynajmniej?

— E, nie! zkądże znowu. Ale muszę być. Nie, Franciszku, letnie palto mi daj — dodał, całując żonę w czoło. — Mogę późno wrócić — nie czekaj, połóż się i śpij.

Pocałunek był zimny, roztargniony. Zresztą, obecność służącego ją krępowała. Nie pytała już o nic. Drzwi wchodowe zamknęły się. Franciszek znikł w kuchni. Ona została sama.

Lampa w stołowym pokoju kładła białe blaski na obrusie, samowar wypuszczał sinawy obłok pary, lśniły się srebrne łyżeczki, noże i widelce, nalane dwie filiżanki stały nie zaczęte. Przed chwilą to wszystko wydawało się tak znane, bliskie, swoje. — Teraz Wanda stała z opuszczonemi rękami, odurzona jakaś i smutna. Mieszkanie całe i ten pokój jadalny o ciemnych meblach, i te białe blaski lampy — wydawały się jej teraz takie zimne — takie martwe! I ta cisza wokoło — i ta pustka oświeconego mieszkania — i ta sztywność poustawianych pod ścianami krzeseł — i ta ciemna noc na dworze — i rzeka, połyskująca metalicznie pod szarem ołowianem niebem, — i nagła ta samotność.

Stała wciąż z opuszczonemi rękami, bez myśli wyraźnej, tylko z coraz wzrastającem uczuciem samotności. Aż dwie łzy wytoczyły się z pod jej powiek i zaczęły spływać po twarzy.

Gniewnie je otarła. „Jakże jestem niemądra!“ rzekła do siebie półgłosem. „Jak mała dziewczynka!“ Zawstydziła się ogromnie. Ona, co ma być pomocą, wspólnikiem, pociechą we wszystkiem ukochanemu mężowi, płacze teraz, gdy wyszedł. Ależ tak będzie często — codziennie może! On taki zajęty, tak pracuje — tyle ma spraw i własnych i cudzych, i społecznych na głowie!

Przecież nie poszła za jakiegoś tam paniczyka, niedołęgę, próżniaka, któryby tylko w domu siedział i z nią się zabawiał. Jej Karol jest człowiekiem pracy, człowiekiem serjo. Wiedziała o tem — i chciała tego.

— Jakże jestem niemądra! — szepnęła znowu, i uśmiechnęła się. — Dobrze, że on tych głupich łez nie widzi. — Usiadła na swojem miejscu, zabierając się do niewypitej herbaty.

Naprzeciw, porzucona leżała koperta rozdarta i bilet wizytowy. Wzięła go i przeczytała:

„Dowiaduję się, iż wracasz dzisiaj. Przyjdź zaraz do mnie. Będzie M. ze Lwowa i jeszcze kilku. Rzecz ważna. Czekamy, chociażby późno. Bohdan Rucz“.

A więc chodziło tu o jakieś ogólne sprawy, o jakieś społeczne cele, o dobro mas, dla których pracowało teraz tych kilku ludzi silnej woli i kochającego serca. O, jaki wstyd wobec tego myśleć o sobie i o własnej przyjemności! I żałować siebie! — Nie, nigdy w życiu nie pożałuje ani męża, ani siebie, ani niczego na świecie, gdy trzeba będzie iść na służbę ogółu. Owszem, zawsze go zachęci i będzie mu pomocą.

— Ja nie chcę ciężyć tobie jak kajdany, wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem. Chcę tylko, byś mię uznał, ukochany! bratnim, pokrewnym ci duchem“ — powtórzyła znany wiersz Konopnickiej.

I uspokojona, wypiła herbatę i zabrała się do domowych porządków.

Lecz krzątając się wśród kufrów i szaf, dysponując pierwszy obiad Magdalenie, układając rzeczy swe w szufladach, rozczesując na noc swe długie włosy, robiąc wieczorną toaletę, wciąż myślą goniła za nim — za ukochanym swym Karolem. O czem oni tam rozprawiają? Co mówią? Co on zwłaszcza mówi? Nad czem obradują? — O wszystkiem tem dowie się przecie od niego, gdy on wróci, i opowiadać jej będzie, gdzie był i z kim się widział. Zaraz, jak tylko wróci, rozpyta się go o wszystko. Nietylko dlatego, że sama chce wiedzieć, ale też aby jemu okazać swą gotowość, swój współudział, chęć szczerą dopomożenia mu w pracy. Dotąd, podczas podróży, nie było sposobności do poważnych rozmów. Ale teraz rozpoczyna się życie na serjo, i trzeba zaraz od pierwszego dnia wtajemniczyć się we wszystko. Tak, zaraz, jak tylko wróci.

Późno się robiło. Północ wydzwoniła na zegarze w jadalni. Gdzieś, na wieży katedralnej, odezwało się dwanaście uderzeń. Służba spała od dawna.

Wanda wyszła na balkon. Ulica była pusta i cicha. Zbierało się na deszcz. Ciepła, chmurna noc jesienna wszystko pokrywała swoim płaszczem wilgotnym i ciężkim, Tylko rzeka wciąż migotała w cieniu — szła i szła, naprzód, niestrudzona nigdy — bez odpoczynku, bez wytchnienia, bez przerwy — szła do nieskończoności, do bezmiernego oceanu. Smutna była noc — nasiąkła deszczem, jesienią, ciszą — i jakąś wielką a smętną rezygnacją.

Wanda wróciła do mieszkania, zamknęła drzwi, i położyła się do łóżka. Ale lampy zgasić nie chciała. Jakaś obawa przejmowała ją przed ciemnością, którą czuła wszędzie dokoła. „Karol zaraz wróci“ powtarzała sobie. „Wróci — wszystko mnie opowie. O, tu na łóżku przy mnie usiądzie, i będzie mówił o wszystkiem“. Widziała już go prawie nad sobą pochylonego i mówiącego do niej, z blaskiem w tych kochanych oczach. Zaraz powróci. — Nie wracał jednak, a tymczasem sen ją ogarnął. Rozchodziło się po jej członkach takie miłe ciepło — łóżko takie było wygodne — kołdra i poduszki takie puszyste i miękkie — bielizna taka śnieżna, czysta i pachnąca. Powoli zapadała w rozkoszne jakieś obezwładnienie, z którego budziła się chwilami z myślą: „Karol zaraz wróci“, i znowu zasypiała.

Leciutkie skrzypnięcie ją obudziło. Karol stał obok, już rozebrany, i patrzał na nią. Poruszyła się, jeszcze trochę senna — i wyciągnęła do niego ręce. — „Ach, dobrze, dobrze, że jesteś! Chodź... usiądź tu przy mnie“ rzekła, starając się zebrać myśli. „Byłeś... gdzie ty byłeś?... To jakieś społeczne“...

On uśmiechnął się. — „Śpij, śpij“, rzekł. „Zmęczona jesteś — późno już“.

Usiadł jednak przy niej i ogarnął ją ramieniem.

Ona rozbudziła się zupełnie. — „Nie, nie jestem zmęczona... Muszę wiedzieć... Opowiedz Kto to ten M. ze Lwowa? O czem mówiliście?“

— O czem mówiliśmy? E, o różnych rzeczach. — Oczy mu zaczęły błyszczeć. — On opowiadał... — mówił dalej, lecz zarazem coraz ciaśniej obejmował ją ramieniem i nad nią się

pochylał — opowiadał o oświacie w Galicji... o Cieszynie... o Ślązakach...

Skłonił się nad nią nisko i ustami prowadził po jej twarzy. Ona, pod dotknięciem tych ust, połechtana jego wąsami, zaczęła się śmiać — i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Kiedy nie opowiadasz porządnie! — zawołała. — Więc cóż — oświata w Galicji?...

— Bo już doprawdy bardzo późno... — odparł, tuląc ją do siebie. — Jutro ci powiem... Teraz trzeba nam spać... spać... spać... — powtarzał, przyciskając się do niej i głowę układając na jej piersi...

III.

Ale nazajutrz było tyle różnych spraw do załatwienia! Tyle porządków domowych! Meble do przestawienia, rzeczy do rozpakowania i t. d., i t. d. A Karol przeglądał stosy pism i gazet, pisał listy, szperał po szufladach swego biórka — a o południu wyszedł, oświadczając, że na obiad wróci dość późno. Jakoż wrócił późno, zmęczony i zamyślony, i w milczeniu zasiadł do stołu.

— Gdzież byłeś przez cały dzień? — zagadnęła Wanda, nalewając mu zupę.

Coś niewyraźnego odmruknął, i jadł z apetytem.

A ona zamilkła także. Ach, jakże miłe były ich śniadania i obiady w wesołych table d'hote'ach Szwajcarji i Włoch! wśród różnobarwnego tłumu cudzoziemców, nieznajomych postaci, z któremi nic ich nie łączyło, ale których gwar bawił ich i jeszcze więcej zbliżał do siebie. Teraz — to było co innego. Przecież miodowe miesiące wiecznie trwać nie mogły.

— Widziałeś? wszystko inaczej ustawiłam w salonie — zaczęła znowu Wanda. — Teraz zupełnie ładnie.

— Tak? Nie obejrzałem jeszcze. A rzeczy już rozpakowane?

— Już — wszystko na swojem miejscu. Wieczorem fotografje wkleimy do albumu — dobrze? pomożesz mi?

— Wieczorem mam zajęcie. Fotografje zostawimy na inny dzień.

— Karolu — co ty właściwie robisz? Nigdy mi o tem nie mówisz... Teraz naprzykład, co masz do robienia?

— Jakto — co? Wiesz przecie, że jestem prawnikiem.

— No, tak. Ale ja chcę wiedzieć dokładnie. Teraz — czy ty kogo bronisz — czy co?

— Będę bronił. — Karol wziął z półmiska pieczeni. — Za parę tygodni mam sprawę, więc muszę się przygotować. Czasu już niewiele.

Wanda zainteresowała się. Jakaż to sprawa? Kto jest podsądnym? Kobieta? Cóż ona zrobiła? Młoda czy stara? Ale Karol niechętnie odpowiadał — trzeba zeń było wyciągać słowo po słowie. „Nudzę go“ pomyślała Wanda — „innym razem dowiem się wszystkiego. Teraz on zmęczony i zajęty“ i objad skończył się w milczeniu.

Ale pod wieczór głośny dzwonek ozwał się u drzwi, i ukazał się w nich Bohdan Rucz.

— A! jak to dobrze, żeś przyszedł! — zawołał Karol, wstając od biórka i wprowadzając gościa do swego gabinetu. I siedząc na sofie, rozpoczęli długą rozmowę — dym od papierosów unosił się w słabo oświeconym pokoju.

Przez zamknięte drzwi Wanda słyszała ich głosy. „Może on zostanie na herbacie“ myślała — „trzebaby coś przygotować“. Podeszła do lustra i poprawiła włosy. „Karol taki dziś zajęty, że nie zauważył mojej bluzki“ myślała — „a przecie to ta panieńska jeszcze — bluzka, którą on tak lubił. To ta, którą miałam na sobie, gdyśmy jeździli z chłopcami na polowanie“. I ujrzała ten letni poranek, błyszczący od rosy, srebrzysty, wonny. Wypłynęli cicho na porośnięte oczeretem jeziorko. Tam, w środku, w migotliwym blasku fal, kąpało się stadko dzikich kaczek. Ach, ta jasność, ta cisza! ta przestrzeń błękitna... ten powiew pachnący od niezmierzonych łuhów... te koronkowe oczerety, chwiejące się im nad głowami! I bliskość jego — najukochańszego w świecie człowieka! Polowanie się udało, chłopcy nie posiadali się z radości. Wrócili weseli, rozbawieni — i Karol powiedział jej cichutko, podając jej rękę przy wysiadaniu z łódki: „Moja niebieska panienko! moje niebo!..“ Odtąd tę niebieską bluzkę kładła zawsze z przyjemnością — i Karol zawsze zwracał na nią uwagę. Ale dziś, zajęty był, jakiś zamyślony... nawet na pytania niechętnie odpowiadał. Nic dziwnego! miał za parę tygodni sprawę... może to go tak absorbowało...

Rucz został na herbacie. Znała go już Wanda, bo przyjeżdżał na ich ślub. Wiedziała, że to największy przyjaciel męża. Przy nim też Karol był zupełnie inny, więcej swobodny, mówny, szczery, jakby młodszy, niż zwykle. Takim go je-

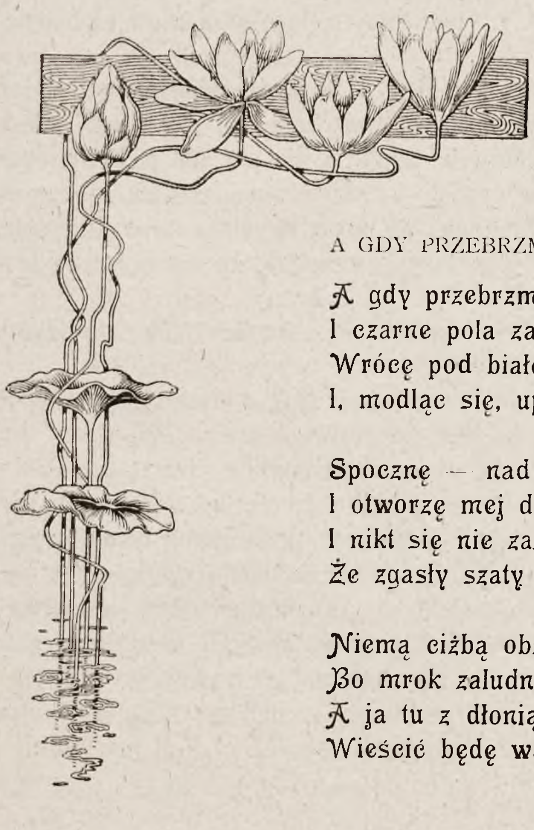
szcze nie widziała. Mówili o wczorajszem zebraniu, o przybyłym gościu, o poruszanych wczoraj kwestjach społecznych, o zastosowaniu niektórych jego rad do tutejszych warunków. Rucz opowiadał o kilku załatwionych podczas nieobecności Karola sprawach. Mówił z zapałem, z odrobinką przesady, wpadając czasem w zbyt śmiały optymizm — oburzając się czasem bez miary.

Karol także się zapalał, broniąc uparcie swego zdania przeciw wywodom przyjaciela, lub wykładając rzecz zwięźle, jasno i dziwnie przekonywująco. Pomimo częstych sprzeczek o szczegóły, porozumienie było między nimi zupełne, i zupełna zgodność zapatrywań co do głównej ideji. Nawet nie mówiono już o niej, tak była dla obu jasna i pewna. Rucz, gwałtowny, żywy, wymowny, dawał się niekiedy unieść oderwanym myślom, leciał w przyszłość, przepowiadał, marzył. Karol, poważny, bardziej skupiony, cichszy, ale niezłomnie trwający przy swojem, ściągał go wtedy z obłoków i zapędzał na tory rzeczywistości i natychmiastowego działania. Bujanie po błękitach nazywał zbyt kosztowną zabawką.

„Jednak, to on ma we wszystkiem słuszność“ myślała Wanda, patrząc z uwielbieniem w twarz męża. Siedziała przy samowarze milcząca, trochę zakłopotana jeszcze rolą gospodyni domu, nie wiedząc, czy może się wtrącać do rozmowy, czy ma zapraszać gościa do jedzenia, czy wypada pytać o objaśnienia. Nie wiedząc, wolała milczeć i zająć się tylko nalewaniem herbaty.

Zresztą obaj panowie wyglądali tak, jakby o jej istnieniu zapomnieli zupełnie. Mieli oni swoją odrębną sferę, w którą wkraczali razem — a ona pozostawała poza nią, gdzieś jak jej się zdawało, w dole, nisko przy ziemi, podczas gdy oni wznosili się na wyżyny.

(C. d. n.)



JÓZEF JEDLICZ

Z „Legendy pól“.

A GDY PRZEBRZMI PIEŚŃ WICHRU...

A gdy przebrzmi pieśń wichru i ustaną gromy
I czarne pola zalśnią srebrnym blaskiem śniegu
Wrócę pod białe wasze strzechy, nieznajomy,
I, modląc się, uproszę strawy i noclegu.

Spocznę — nad watrą suknie rozwieszę żebracze
I otworzę mej duszy czysty skarb bogaty,
I nikt się nie zaśmieje i nikt nie zapłacze.
Że zgasły szaty słońca i powiędły kwiaty.

Niemą ciżbą obsiędziem watrę rubinową,
Bo mrok zaludnią duchów objawienia mgliste,
A ja tu z dłonią na sercu, pochyloną głową
Wieścić będę wam cuda i prawdy wieczyste.

IWAN WAZOW.

UPARCIUCH.

OPOWIADANIE

Przekład z bułgarskiego przez J. Z. A.

Pociąg dopiero co zatrzymał się na stacji i już miał ruszać dalej, bo zatrzymuje sią tylko dwie minuty, — czas potrzebny na wydanie i przyjęcie poczty. — Mała to bowiem stacyjka, rzadko kiedy wysiada tu, lub wsiada jaki podróżny.

Lecz dziś, jak jeszcze nigdy, duża gromada wieśniaków i wieśniaczek kręciła się na peronie, żywo rozmawiając; jedni żegnali się z drugimi, mianowicie z tymi, którzy mieli bukieciki i gałązki bukszpanu na czapkach. Byli to żołnierze rezerwy z pobliskiej wsi K., których powołano na ćwiczenia, mające trwać tylko trzy tygodnie, lecz jakaś fałszywa pogłoska o bliskiej wojnie, złudziła wieśniaków, i ci żegnali się z młodzieżą tak, jakby jej nie mieli widzieć długo, — a może i nigdy.

W jednej chwili wszyscy zgromadzili się przed starym, długim wagonem trzeciej klasy, znajdującym się przy samym tendrze. To pierwszeństwo zawdzięcza trzecia klasa smutnym doświadczeniom, w razie bowiem nieszczęścia, pierwsze wagony zawsze zamieniają się w drzazgi wraz z ludźmi, którzy się w nich znajdują, chroniąc przez to tylne wagony, za które się więcej płaci.

W ostatniej chwili, gdy przeciągły gwizd pary dał się słyszeć, a wagony się poruszyły, jakieś piękne dziewcze, wskakując zręcznie na stopień wagonu, podało bukiecik kwiatów wysokiemu, modrookiemu żołnierzowi, który wychyliwszy się z okna, chwycił kwiaty i uścisnął silnie dłoń dziewczęcia.

Pociąg ruszył, a oboje młodzi nie zdążyli, czy też nie mogli zamienić z sobą choćby jednego słowa. Dziewcze zadyszane, czerwone ze zmęczenia, ścigało okiem okna wagonu, ginącego w dali, w którym widniała nieruchoma głowa modrookiego wojaka.

*

Wkrótce pociąg znikł za pagórkiem. Słońce paliło, rzucając na pożegnanie ogniste promienie na czarną górę — i zaszło.

Przez puste, głuche pola pociąg pędził z błyskawiczną szybkością. W wagonach zapalono lampy. Młodzież rozwiązała węzełki z zapasami, aby się posilić tem, co jej dano na drogę. Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd pary, — pociąg stanął.

— Co się stało? czy to stacja? pytali chłopcy, wyglądając przez okna w dal ciemną. Lecz nic dostrzedz nie mogli. Pociąg stanął w czystem polu, widocznie jakaś przeszkoda go zatrzymała.

— Widać czerwone światło! zawołał jeden.

I rzeczywiście, przy następnej budce strażniczej wystawiono czerwoną latarkę, jako znak, że droga zamknięta. Wkrótce się dowiedziano, że najbliższy mostek zepsuty, a pociąg musi tu czekać do jutra, dopóki się naprawa nie skończy.

— Kto chce, może wysiąść! zawołał konduktor, otwierając drzwiczki wagonów.

W mgnieniu oka żołnierze znaleźli się na otwartem polu. Podróżni z innych wagonów, wysiedli także, ale ci nie przyjęli tego niemiłego wypadku tak obojętnie i tak spokojnie.

— To bezczelność! wołali panowie z drugiej klasy.

— Czy oni byli ślepi, nie widzieli wcześniej, że most zepsuty! irytowała się pierwsza klasa.

Rezerwiści zapatrywali się na ten wypadek z zimną krwią, — zdziwiło ich to, ale nie zgniewało. Ocknęło się w nich wychowanie żołnierskie, którego pierwszym obowiązkiem jest pokora i cierpliwość.

— No! słuchajcie, zawołało kilku, położymy się na trawie.

— Panowie niech śpią w wagonach, aby się nie przeziębili, przekpiwali inni.

— Na trawę! pod ciemne niebo!

— Żaden z nich nie chciał zostać w wagonie, i gdy „panowie“ pozamykali okna w wagonach, aby się do nich chłód nocny nie wcisnął, żołnierze rzucili się na miękką trawę, utkwiwszy oczy w mrugających gwiazdach, które migotały na ciemnem przestworzu, jak brylantowy piasek — a myśli ich pomknęły w dal, ku rodzinnej wiosce, w której z tęsknotą również o nich myślano.

*

Powoli rozmowy ustały, — wszystko dokoła ucichło. Wzruszenia pożegnania i rozłąki ze wszystkiem, co sercu miłe i drogie w połączeniu z miłym nocnym chłodem wkrótce ukołysały do snu zmęczoną młodzież i wśród ciszy nocnej słychać było tylko spokojne oddychanie dwudziestu młodych piersi.

Tylko Mładen Rajczew nie spał, jemu to, jak widzieliśmy, dziewczyna podała bukiecik kwiatów. Z przed oczu, z wyobraźni jego nie chciała ustąpić postać dziewczęcia. Widział ją ciągle taką, jak w ostatniej chwili pożegnania: z zarumienioną twarzą, zmęczoną szybkiem biegnięciem, z czarnemi, ognistemi, przestraszonemi oczami, wilgotnemi ze wzruszenia, — z czerwonemi jak koral usty, na których drżały słodkie a nie wyrzeczone słowa pożegnania; ręka jego tuliła kwiatki, dane przez nią w ostatniej chwili, drżała jeszcze od uścisku jej ręki. W duszy jego powstało jakieś tajemne, tęskne, uczucie, jakieś gorące pragnienie, aby kogoś zobaczyć, komuś coś powiedzieć, coś nieokreślonego, nieuchwytnego, to co leżało mu jak kamień na piersiach. Zdawało mu się, że dusza, że serce jego, że on sam został tam na dworcu, a tu jest jakiś inny, nieznany mu Mładen.

Męka jego miała źródło w tem, że kilka dni ostatnich nie widywał Canki, ujrzał ją tylko w chwili odjazdu i to na mgnienie oka. . . Nawet jednego słowa z nią nie zamienił, a tyle — tyle mieli sobie do powiedzenia przed rozłączeniem się! Ale ona zjawiła się przed nim i zniknęła jak sen. Tak, prawdziwie jak senne marzenie na jawie!

Widocznem było, że biedne dziewczę ukradkiem przybiegło, by go pożegnać — i ledwo zdążyło; a gdy on się w nią wpatrywał. serce jej zamierało z bólu i rozpaczy! On sam był przyczyną, że ją zatrzymano. Wczoraj poszedł do jej ojca, Miłosza Karażelewa, czorbadzii*), dumnego i gniewliwego wieśniaka, mającego czasem dobre serce, i zastał go właśnie, gdy wyprowadzał gości.

— Baj Milo, odchodzę jutro z naszymi rezerwistami, przyszedłem, aby cię pożegnać i jako starszego poprosić o błogosławieństwo...

Miłosz czorbadzija zdziwił się. Długie bowiem lata nienawidził się on z ojcem Mładena, zatwardziałym buntownikiem, jakim został do śmierci, człowiekiem bardzo upartym, ale rzadkiej uczciwości. Miłosz pogardliwie nazywał go „komita“ [2]) a w spadku po ojcu nienawidził on i Mładena, który otrzymał w dziedzictwie upór i junactwo ojca swego, jakoteż niechęć tegoż do czorbadżji, zastanowiło więc tego ostatniego, dlaczego Mładen przyszedł się z nim pożegnać i prosić o błogosławieństwo?

— A! idziesz, to dobrze, tam zrobią z ciebie człowieka, nieboszczyk Rajczo zrobił z was samych psich synów. Boże mu odpuść! — dodał Miłosz.

— Baj Milo, tylko nie mów źle o moim ojcu, dość mu dokuczyłeś za życia! — rzekł Mładen wzruszonym głosem.

— E! co mówisz, czyż on był dzieckiem? A teraz jeśli odchodzisz, to idź sobie precz, — zawołał Miłosz, obrzucając chłopaka gniewnem spojrzeniem.

Mładen nie ustąpił, grubijaństwo czorbadzii odbiło się o jego upór, jak o skałę. Odezwał się stanowczo:

— Ja pójdę, lecz zanim pójdę, mam ci powiedzieć dwa słowa, które powinieneś sobie dobrze zapamiętać.

— Mów, zobaczymy.

— Gdy powrócę żywym z wojska....

— A gdy nie powrócisz? przez to nie zrobi się dziura w niebie! — przerwał mu ostro Miłosz.

— Lecz jeśli powrócę, poproszę cię o Cankę. Pamiętaj więc, byś jej nie dał nikomu aż do tego czasu.

Usłyszawszy te zuchwałe słowa, Miłosz wpatrzył się w chłopaka, dla przekonania się, czy on sobie nie kpi z niego, lecz spojrzenie Mładena wcale nie oznaczało żartu tylko śmiałą stanowczość. Wtedy Miłosz wybuchł pogardliwym gniewem:

— A! ty psi synu! ty chcesz mojej córki, ale kto zechce ciebie, wszawy prosiaku! „Patrzcie go, on pyta o popa, kiedy go ze wsi psami szczują“.

*) Czorbadżija — po turecku chlebodawca, gospodarz, wogóle człowiek zamożny. (Przyp. tłum.)

[2]) Komita, tak nazywają Turcy wszystkich rewolucjonistów, pracujących nad zrzuceniem jarzma tureckiego, a czorbadżije bułgarscy jako ludzie zamożni, a więc konserwatyści, również komitów nienawidzili i nimi pogardzali. Tak było naturalnie aż do czasu wyzwolenia Bułgarji a tak się dzieje i dzisiaj w Macedonji. (Przypisek tłum.).

— Canka mnie chce, my się kochamy — zawołał Mładen wzburzony.

Miłosz wybuchnął śmiechem a włożywszy ręce w kieszenie swych tureckich spodni, odwrócił się i odszedł.

— Słuchaj, krzyknął za nim Mładen, pamiętaj, abyś Canki nie dał nikomu, dopóki nie wrócę, bo inaczej puszczę cię z dymem.

I chłopak odszedł, słysząc za sobą głośne wymyślania i przekleństwa Miłosza.

— Ty zbójecki synu! przeklęte plemię! Syn „komity“ musi być także „komitą“....

Leżąc na trawie, wszystko to przypomniał sobie Mładen a wściekły gniew zakipiał w jego piersi.

— Zabiję ich i siebie, jeśli stary odda ją innemu, pomyślał z wściekłością... Lecz wkrótce uspokoił się przyjemniejszemi myślami. Widział przed sobą wioskę swoją. Spoczywała cicho we śnie pod gwiaździstem niebem, strumyczek szemrze obok płotu Miłoszowej zagrody, pod spuszczającemi się gałęziami wierzb starych, nad brzegiem rzeczki drzemią gąski, w podwórzu cisza, tylko grusza czasami zaszumi a liście fasoli zaszeleszczą; pod gruszą stoi szopa z warstatem tkackim a w niej śpi Canka. Wszyscy tam w domu śpią, tylko Canka sama czuwa, czuwa i jej luby, on, o niej myśli i wzdycha do niej.... Jakby się ona ucieszyła, gdyby tak nagle usłyszała jego ciche nawoływania, gdyby się znowu ujrzeli, i bez przeszkody mogli się nagadać o wszystkiem, co im leżało na sercu w chwili rozstania. Cóżby to była za radość. Ona by wyszła do niego, wymykając się jak wąż niepostrzeżenie ze swego posłania....

Nagle błysnęła mu myśl: a gdyby tak pójść do niej i zobaczyć ją? Do świtu jest jeszcze sześć lub siedm godzin, dość czasu aby z ukochaną zobaczyć się choćby na końcu świata, a nie o godzinę drogi! Bez namysłu zdecydował się. Teraz już nic zatrzymać by go nie mogło, gotów był przebyć i ognistą rzekę, któraby go oddzielała od Canki i zdobyć mury forteczne, gdyby w takowe zamienił się płot zagrody Miłoszowej.

Gwiazdy milcząco migotały na lazurowem niebie. Cisza panowała dokoła. Przerywały ją tylko chrapania junaków. Mładen wstał ostrożnie i puścił się szybkim krokiem przez pola, wzdłuż linji kolejowej. Wkrótce zniknął w pomroce nocnej.

*

Północ minęła, gdy Mładen, upojony słodkiem spotkaniem z ukochaną, wychodził ze wsi ku stacji, aby stamtąd iść dalej wzdłuż plantu kolejowego. Dotąd nikt go nie widział, nikt nie spotkał. Wieś była pusta, jakby wszystko w niej wymarło, to mu sprawiało przyjemność, pragnął, aby bytność jego we wsi i przyczyna tejże pozostały dla wszystkich tajemnicą. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że popełnił występek przeciw dyscyplinie wojskowej, że postępek ten był szalonym — lecz to było ponad jego siły, aby tam nie pójść. Śpieszył się, nie wiedział która godzina, bał się, aby zanim dobiegnie do pociągu, zorza nie spotkała go w polu.... biegł więc coraz prędzej.... Wiatr powstał, szumiąc głucho pomiędzy płotami i konarami orzechów.

(Dok. nast.)

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teoryj mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

VII.

Mutacjoniści, o których była mowa uprzednio, chcieliby drogą podjazdową przemycać cudowność, tajemniczość, w zakres fizjologicznej części teorji transformizmu, ta sama dążność, tylko silniej uwydatniona, a na domiar wojowniczością nacechowana, objawia się u filozofów, mieniących się nowożytnymi, jakkolwiek operują pojęciami i wiedzą przyrodniczą, datującemi z czasów starożytnych; ci filozofowie gwałtownie napadają na ewolucjonizm naturalistyczny, mając nadzieję pokonać go i zniszczyć. Czy jednym i drugim idzie tu o prawdę, czy o c o ś innego? odpowiedź trudna.

Znam we Lwowie damę „wykształconą“, mienioną w świecie towarzyskim „rozumną“, co jej wcale nie przeszkadza urządzać u siebie seanse spirystyczne i wierzyć w istnienie świata duchów niewidzialnych, nadprzyrodzonych, „transcendentalnych“. Otóż gdy pewnego razu zaszła rozmowa o upiorach w obecności tej damy, oświadczyła bardzo stanowczo, że w upiory nie wierzy, dodała jednak natychmiast „ale że jest c o ś, to więcej niż pewno, o tem nikt rozsądny wątpić nie powinien“.

Filozofowie wyżej wspomniani jota w jotę powtarzają poglądy owej damy, oni również nie wierzą w upiory, tylko w to c o ś, którego żadną miarą pozbyć się nie umieją. Oni chętnie jedną stopę swoją opierają na podstawach nauk przyrodniczych, które znają ze słyszenia tylko, zaś drugą stopą grzęzną w nieuchwytnych, nie dających się sprawdzić przypuszczeniach i teorjach, a to jedynie w celu, ażeby uratować to c o ś transcendentalne, w które wierzą wraz z damą wyżej wspomnianą i sądzą wraz z nią, że ta ich wiara jest szczytem perfekcji filozoficznej! jest jedynem „juste milieu“ pomiędzy materjalizmem i klerykalizmem.

Najciekawszemi istotami w świecie wiedzy porównawczej przyrodniczej są formy przejściowe: L e p i d o s i r e n Nibyskrzek, A r c h a e o p t e r y x Nibyptaz, O r n i t h o r h y n c h u s Nibyptak, P t e r o d a c t y l u s Nibyperz, T r e m a t a s p i s Nibyrak etc., ale za to najmniej ciekawemi, a nawet wstrętnemi osobistościami są ludzie przejściowi, o dwóch niezdecydowanych kierunkach, tak zwani ugodowcy, „nieboziemni filozofowie“, co to radzi byliby i niebo zagarnąć dla siebie i na ziemi rozsiąść się wygodnie. Jednym powiadają: „jesteśmy ptakami, patrzcie na nasze skrzydła“, drugim mówią: „jesteśmy myszami, patrzcie na nasze nogi“, a w rzeczywistości są nietoperzami.

Ci filozofowie „nowożytno-starożytni“, dopóki chodzi o zwierzęta niższe, myślą i rozumują jak naturaliści, ale skoro kwestja dotyczy człowieka, zmieniają front, stają się natychmiast idealistami i wloką do boju „flogiston animistyczny“, tworząc teorje psycho-fizycznego paralelizmu, a tem mają nadzieję rozsadzić teorję ewolucyjną i wybawić myśl ludzką z więzów materjalizmu. Najciekawszą rzeczą w ich taktyce bojowej jest powoływanie się na autorytet Kanta; a przecież ten „papież“ idealistów nowożytnych, jest już Ichthyosaurem przeszłości, zdał się dla paleontologji filozoficznej, a nie dla żywej wiedzy. Co o nim sądzą trzeźwe umysły, wykazać się postaram, cytując dosłownie zdanie Pani C l é m e n c e R o y e r, jednej z najgłębszych myślicieli epoki niniejszej. Poznanie znaczenia Kanta jest dla nas ważne, bo nam rozjaśni przyczynę dysonansu, jaki istnieje pomiędzy zwolennikami poglądów „mędrca królewieckiego“ i tymi, którzy z pod jego wpływu oswobodzić się potrafili dzięki całym szeregom badań i doświadczeń przyrodniczych.

Zdania główne p. Cl. R o y e r, wyjęte z jej obszernej oceny filozofji Kanta są następujące:

„Les doutes sur la puissance de la raison, les limites négatives qu'on lui suppose, tout cela repose sur une argumentation fausse de Kant, sur le systême factice de son idealisme subjectif, qui, mettant en doute la réalité objective et existencielle, bien qu' insubstancielle de l'éspace et du temps, comme lois et conditions de l'être, pour en faire seulement les conditions et les lois

de la connaissence, a ébranlé par là, d'un coup, toutes les bases de la certitude rationelle...

Quel a été le but de Kant qui, en somme, n'a fait que développer l'idéalisme de Berkeley et le scepticisme de Hume? Son but, comme le leur, c'était de sauver Dieu, dont le concepte, comme cause première, était devenu non seulement inutile, mais contradictoire à la notion objective du monde, tel qu' il était déjà connu...

Pour que ce Dieu restat possible, que son existence fut compatible avec le monde, il fallait réduire le monde à l'état d'apparence phénoménale, de natura naturata sans realité, en faire le rêve de Dieu en Dieu, seule réalité, seule substance, seule entité, seule natura naturans, se donnant à lui même le spectaele d'un monde n'existant qu'en lui même, comme une récréation de sa solitude, comme un drame éternel joué pour lui, par lui, devant lui par des acteurs qui n'existent que dans sa pensée...

Voilà pourquoi l'idéalisme de Kant a été adopté avec tant d'entousiasme et défendu avec tant de ferveur, non seulement par toutes les Églises... mais par touts les déistes, amateurs d'à—peu—près, qui des anciens dogmes ne conservent plus que le concept métaphisique d'un Dieu, cause première et providence du monde. Voilà comment les idées de Kant devinrent le fondement de toute la nouvelle théologie allemande...

Grand est l'impasse ontologique où Kant a engagé l'esprit moderne, en croyant supprimer la métaphisique. Toute la philosophie allemande s'y est enfermée après lui, à sa suite, sans trouver la porte pour en sortir. Les idées de Kant importées ailleurs, sont venues obscurcir, pendant tout le dernier siècle, la clarté de l'esprit francais“. Tu możemy dodać, że u nas niema chyba ani jednego filozofa, któryby śmiał myślą sięgnąć po za dogmaty Kant'a, a jeżeli się znalazł gdzie jaki, to uczepił się niezawodnie jeszcze starszych typów, paleontologicznych myślicieli, albo marzy o jakiejś patrjotycznej filozofji idealistyczno-dualistycznej.

Starszym jeszcze szczątkiem paleontologicznym w historji jest drugi filozof, nad którym sobie także suszą mózgi nasi filozofowie, mianowicie Spinoza; co warta cała filozofja tego mędrca, poznamy najlepiej z oceny, którą poniżej przytaczam.

J. B. Stallo, amerykanin, jeden z wybitnych myślicieli dzisiejszych, w dziele swojem „o pojęciach i teorjach nauki współczesnej“, wydanem w tłómaczeniu niemieckiem, dokonanem pod kierownictwem prof. Macha w Wiedniu, wyraża się w ten sposób o filozofji Spinozy: „Das System Spinozas, wiewohl es in Wirklichkeit eine unwillkürliche „reductio ad absurdum“ aller ontologischen Speculations ist, doch infolge der scheinbaren Eleganz seiner pseudomathematischen Trugschlüsse dazu beigetragen hat, die Entdeckung der wahren Prinzipien philosophischer Untersuchung in unberechen barer Weise hinauszuschieben“.

Takiem jest znaczenie dwóch bożyszcz filozofji idealistycznej, a przecie ich dzieła stanowią podstawę główną nowożytnych rojeń, któremi niebоziemni filozofowie, chcą uratować to coś nieszczęśliwe, ku chwale swojej i zbawieniu ludzkości.

Teorja ewolucjonistyczna kładzie tamę dla rojeń idealistyczno-dualistycznych, ją też zwalczają z całą możebną energją i elokwencją filozofowie nowożytni.

Do takich filozofów idealistycznych, należy Fryderyk Paulsen. Wystąpił on wojowniczo w swej „filozofji wojującej“ (Philosophia militans), raz przeciwko klerykalizmowi, który w jego oczach jest identyczny z katolicyzmem *) (ale broń Boże

*) Religja izraelicka odznaczała się i odznacza się dotąd wybujałym klerykalizmem, pychą i szowinizmem plemiennym, nietolerancją i tyranją względem innych wyznań; prawie wszystkie te wady przeszły do chrześcijaństwa: w katolicyzmie odpadła jednak pycha rasowa, aie w protestantyzmie zawitała ona z większą jeszcze siłą, bo protestantyzm jest ni mniej ni więcej, jak religją czysto niemiecką, germańską. Rasa rzeczona uważa się za wybraną przez Boga, jak Izraelici uważali się za lud wybrany przez Jehowę. Klerykalizm nie jest właściwością specjalną katolicyzmu, lecz wszystkich religji razem wziętych; kto był w latach sześćdziesiątych w Dorpacie, mógł się łatwo przekonać, jaki to klerykalizm, jaka ciemnota panowała tam na łonie protestantyzmu. Jak n. p. do pastora Bienemana zjawiał się we własnej osobie co wieczora Bóg protestancki, konferował z nim o sprawach rozmaitych, a bogobojny pastor, lubiący namiętnie produkty winnic nadreńskich, komunikował prawdy, objawione mu osobiście przez Boga, wiernym na kazaniach ognistych, miewanych co niedziela w „Kirchie“ St. Anny w Dorpacie. Porównanie narodów katolickich z prote-

nie z protestantyzmem, bo ten ostatni jest dzieckiem filozofji kantowskiej: „Kant jest filozofem protestantyzmu), drugi raz występuje on przeciwko naturalizmowi, „bo naturaliści widzą w Kancie przedstawiciela wstecznictwa“, a on tylko, według Paulsen'a, „zburzył urojenia dogmatyczne naturalizmu, którego najjaskrawszym wyrazem jest materjalistyczny pogląd na świat“.

Widzimy z tego streszczenia zapędu wojowniczego Paulsen'a, że mu przedewszystkiem chodzi o obronę „papieża filozofji“, Emanuela Kanta, musi też o to chodzić i prof. Kazimierzowi Twardowskiemu, skoro poleca czytanie „Filozofii militans“ polskim katolikom i naturalistom i sądzi, że nie małą *z uważnego czytania tej pracy odnieść mogą korzyść*.

Prof. Twardowski określa stanowisko Paulsen'a odnośnie do nauk przyrodniczych takiem orzeczeniem, że *jest on daleki od niedoceniania znaczenia tych nauk, lecz zwalcza tylko uroszczenia tych przyrodników, którym się zdaje, że po za granicami uprawianych przez nich nauk niema wiedzy, że badania przyrodnicze mogą rozwiązać wszelkie zagadnienia*, albo — jak chce Haeckel — już rozwiązały wszelkie zagadnienia **).

Gdyby Paulsen umiał słusznie oceniać znaczenie nauk przyrodniczych, to byłby musiał niemi się zająć, albo powinien byłby przynajmniej wiedzieć, że po za przyrodą niema nic dla rozumu ludzkiego, że wszystko to, co się znajduje po za światem, dostępnym dla naszych zmysłów, jest halucynacją myśli, — te złudzenia stawić jako dogmaty, wyjęte z pod kontroli rozumu, jest niedorzecznością, a w wypadkach wielu — zbrodnią. „Obrona nowożytnej filozofji idealistycznej, której reprezentantem jest Kant“, świadczy najdowodniej, że Paulsen nie ma najmniejszego pojęcia o znaczeniu i o rezultatach badań przyrodniczych.

Ktokolwiek dzisiaj się odwołuje do zdania filozofów przeszłości, którzy nie mieli najmniej-

---

stanckimi, uczynione przez Paulsena i aprobowane przez prof. Twardowskiego, jest wprost niewłaściwe. Paulsen przypisuje wpływ dodatni religji protestanckiej w porównaniu z katolicką, przytacza dowody czerpane z historji i powiada, „że jeżeli wogóle można wysnuć jakieś uzasadnione uogólnienie z dziejów ostatnich wieków, jest niem to, że narody protestancko-germańskie, cieszyły się pewną ciągłością rozwoju, podczas gdy narody katolickie popadały z bezgranicznego absolutyzmu w stan „rewolucjonizmu“, który niemi miota pomiędzy anarchizmem i tyranją“. Chcieć wytłumaczyć zawiły proces życia narodów i państw obrządkiem religijnym, jest to samo, co stawić w związku przyczynowym cienkość wełny owiec i śpiew słowika. Rozpowszechnione pomiędzy Niemcami przekonanie, że religja protestancka wprowadziła wolność sumienia, tolerancję przekonań, niewiarę w cudowność, jest wprost fałszem, oto jeden z wielu innych faktów świadczących, że wiara w cudowność i u narodu myślicieli jest tak starannie piastowana, jak i gdzie ingdziej. Tak n. p. w r. 1902 b. m., w pruskim kościelnym „Dzienniku Urzędowym“ czytamy co następuje: „Ze względu na nieustające deszcze polecamy Wielebnym pastorom, ażeby w 4. po sobie następujące niedziele, po nabożeństwie odbyli „supplikacje“ w celu uproszenia u Pana Boga pogody dla zbliżających się żniw“. Takie fakty, a jest ich pełno, pozwalają „po owocach poznać drzewa“ i słusznie powiada prof. Twardowski, że protestantyzm nie ma powodu obawiać się porównania z katolicyzmem. Każda religja może być fanatyczną, każda grzeszyć może klerykalizmem, każda pielęgnować może ciemnotę, od tych właściwości nie jest wcale wolny protestantyzm. Religji rozumu dotąd nie było i takiej nie będzie... Paulsen, według słów prof. Twardowskiego zdaje się być przekonany, że protestantyzm odniesie zwycięstwo nad katolicyzmem, który ma zniknąć z powierzchni ziemi, to przekonanie jest tylko słuszne wobec marzeń „pangermańskiej polityki“. Otóż w razie gdy Germanowie siłą potrafią pokonać świat cały, wtedy mogą mu narzucić swoje wierzenia, ale jeżeli rzeczy pójdą koleją, przewidywaną przez *Lapouge'a*, to w przyszłości Niemcy będą prawosławnymi. W ostateczności, gdy zwycięstwo przypadnie w udziale rozumowi, zapanuje wiedza i prawda, ta wszakże musi być z konieczności monistyczną, a nie dualistyczną, materjalistyczną, a nie idealistyczną, bezobłudną i bezalkoholiczną, jedną, świętą, opartą na obserwacjach przyrodniczych.

**) Ten zarzut, uczyniony przez Paulsena Haecklowi, a przyjęty na wiarę przez prof. Twardowskiego, jest absolutnie bezpodstawny. Haeckel bardzo skromnie powiada na wstępie do swojej pracy „Die Welträthsel“, że wskazał tylko drogę, która według jego przekonania prowadzi do prawdy. Więc pocóż te fałsze i kłamstwa? Następnie Haeckel w swej pracy pod tytułem: „O pochodzeniu człowieka“, której dziesięć już wydań wyszło w samych Niemczech, najsolenniej oświadcza, że nawet nigdy mu się nie śniło uznawać swoje hipotezy za dogmaty. Walczyć kłamstwem, jak to czyni Paulsen, jest nieszlachetnie. Fakt zaś tedy, jak słusznie powiada Paulsen, jest „*signum temporis*“. Precz tedy z obłudą, precz z kłamstwem! Poznać przyrodę, poznać rezultaty badań dotychczasowych przyrodniczych, oto jest zadanie chwili, a nie stawać w obronie Mamutów i Ichthyosaurów.

szego pojęcia o przyrodzie, kto staje w ich obronie, czyni tak, jakby brał na świadectwo Jchthyosarów albo Mamutow; pozostawić ich powinniśmy w spokoju, żaden z ich poglądów nie jest w stanie posunąć wiedzy naprzód. Ani Platony, ani Kanty, ani Schopenhauery ani Paulseny nie przyczynili się, ani się przyczynią, nawet na zdziebełko najmniejsze, do postępu wiedzy, Haeckel, na którego idealiści gromy oburzenia ciskają, sam jeden więcej zrobił dla nauki, niż wszyscy filozofowie razem wzięci.

Na filozofję nowożytną patrzą już dzisiaj wszyscy z obrzydzeniem, tego zaprzeczyć nie mogą filozofowie, wstręt ten u ogółu społeczeństwa jest prawie instynktowy, jak wstręt przed każdą kategorją gadów, ugodowców, istot nieszczerych, dwulicowych, oportunistycznych; poznano się też nareszcie na lisach farbowanych i to Paulsena pobudza do złości, której wyrazem jest wykrzyknik następujący:

„Wstyd mnie palił, gdym czytał książkę Haeckla (Die Welträthsel), wstyd z powodu poziomu wykształcenia ogólnego i filozoficznego mego narodu, że ta książka mogła powstać, że ją można było napisać, wydrukować, kupować, czytać, podziwiać, że można było w nią uwierzyć, wśród narodu, który ma Kanta, Schopenhauera — to rzecz bolesna“.

Próżne są lamenty filozofa idealistycznego, Fryderyka Paulsena. Książka Haeckla, rozeszła się w ciągu kilku tygodni w przeszło 10.000-ach egzemplarzy.

Natchniony zapędem wojowniczym Paulsena, prof. Twardowski stoczył bój z Marburgiem, zarzucając mu, że w „Poradniku dla samouków“, śmiał uznać „Historję idealizmu“ Willmanna za rzecz dobrą, ba! nawet za „pracę najznakomitszą z zakresu historji filozofii“. Jako motywy do tego zarzutu, podaje prof. Twardowski następujące „herezje“, popełnione ze strony Willmanna, które mają go odsądzać od prawa być uznanym za dobrego historyka filozofji. O zgrozo! 1. On nazywa etykę Spinozy — etyką zbrodniarzy (Verbrechermoral), a samego filozofa chytrym fałszerzem. 2. Hume'owi zarzuca płytkie rezonowanie. 3. Kant'owi wytyka dwulicowość. 4. Mieni słowa jednej z Encyklik papieża Piusa IX. — monumentalnemi.

Co do trzech pierwszych herezji Willmanna, to uważam je wszystkie za tyleż tytułów do wdzięczności dla autora, który przecie miał śmiałość nazwać rzeczy po imieniu, a zarazem sądzę, że Marburg miał prawo uznać te prawdy, przez Willmanna wygłoszone, za słuszne. Co do oceny pracy ks. Pawlickiego „historji filozofji greckiej“, ze strony p. Marburga, to w niej nie widzę żadnej sprzeczności, zarzuconej mu przez prof. Twardowskiego; bo, że Marburg powiedział, że ks. Pawlicki czerpał ze źrodeł oryginalnych“, a „jednak oryginalnym badaczem według niego nie jest“, nie mieści w sobie żadnej sprzeczności. „Trudno się oprzeć wrażeniu“, iż użyję zdania prof. Twardowskiego, że autor oceny „Philosophia militans“ pisał tę ocenę pod wpływem niechęci do nauk przyrodniczych, w ogólności, zaś do prof. Haeckla w szczególności, a nadto pod wpływem niechęci jakiejś do p. Marburga, „co niezupełnie licuje z naukową bezstronnością“, którą się tak szczycą filozofowie nowożytni, występujący i przeciw klerykalizmowi katolickiemu i przeciw naturalizmowi, a głoszący, że zdołali znaleźć to „juste milien“, tak konieczne dla nowożytnej nauki. — Szczęść im Boże po drodze „nietoperzej“. „Jedno tylko tu dodam od siebie, że ani „Philosophia militans“ ani „Ecclesia militans“ nie pokonają prawdy, że wszelkie teorje mutacyjne ustąpić muszą przed ewolucyjnemi. Takiem jest „signum temporis“ chwili obecnej. Zamiast rozpaczać, niechaj się Paulsen zabierze do studjów przyrodniczych, co ze szczerego serca radzimy i wszystkim zresztą filozofom, a gdy tej rady usłuchać zechcą, wtedy zrozumieć potrafią znaczenie Haeckla dla wiedzy pozytywnej i nicość Kanta, zarazem poznać zdołają, że „cytopsyche, coenopsyche, histopsyche i newropsyche“, są pojęciami, osnutemi na faktach historji rozwoju, a nie wyrazami, słowami, któremi się operuje w naukach przyrodniczych, jak filozofowie operują „paralelizmem psycho-fizycznym“, lub też innymi terminami transcedentalnymi, obfitymi w zakresie teorji dualistycznych.

URYWKI.

„Potrzeba nam wizerunków ruin zamków, chat, dworów i kościołów, rysunków medali starożytnej Polski, pieczęci koronnych ruskich i litewskich, klejnotów ziem, miast i rodzin szlacheckich; potrzeba nam posiadać jak najzupełniejsze zbiory portretów historycznych, obrazów, rycin i cacek, rysunki strojów i rysztunków, wizerunki grobów i mogił, nagrobków i widoków ziemi, starych charakterów i ozdób, wizerunki świętych i głośnych kraju obszarów i całego widoku drewnianej i murowanej Polski.

Zbiory takowe byłyby zapewne surowemi dopiero żywiołami; ale bez budulca nie postawi gmachu i trudno budowę zamku lub kościoła od krzyża i złotej bani poczynać i z góry na dół prowadzić! Wszakże zbiory podobne stałyby się u nas abecadłem historycznego malarstwa; o nie dopiero mogłaby się oprzeć sztuka, one byłyby także stanowiskiem, z któregoby ogół wychodził i mógł sądzić o wartości dzieł malarskich. Podobne zbiory stałyby się szkołą starożytności dla narodu, a żywe pojęcie onych utworzyłoby dla sztuki symbolikę własną. Tak leży n. p. w herbach starożytnej Polski cała tajemna mowa podań narodowych, które, właściwie pojęte i szczęśliwie użyte, stałyby się może symboliką sztuki ojczystej. Szkoła, na takich zasadach oparta, nie poszłaby Europą i krajem po żebrach: nie potrzebowałaby stylu i chleba prosić po świecie!“

W. Pol. *O malarstwie i żywiołach jego w kraju naszym* (r. 1839).

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Trzy studja* Marji Konopnickiej. Warszawa 1902. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Z prac krytycznych znakomitej poetki zostały zebrane w tym tomie trzy wybitniejsze, rozproszone dotąd po różnych pismach perjodycznych. Związek, pomiędzy ich tematami zachodzący, jest zupełnie luźny, gdyż jest nim chyba tylko nuta „bohaterska“, rozbrzmiewająca najsilniej zarówno w rostandowskim „Cyranie“, jak w „Juljuszu II.“ Klaczki lub w „Krzyżakach“ Sienkiewicza. W słynnej komedji bohaterskiej autora „Romantycznych“ jest to „bohaterskość“ czysto-teatralna i, jak wogóle cały ten utwór, na kompromis z gustami mas szerokich obliczona. Zdaje się, że bądź co bądź świetna w swoim rodzaju robota „Cyrana“ podbiła autorkę „Pana Balcera“ — i oto tej okoliczności zawdzięczamy prócz wybornego przekładu, o całe niebo przewyższającego niemiecki przekład Fuldy — i to studjum, będące po większej części poetycznem streszczeniem, a w mniejszej tylko interpretacją. Streszczeniem takiem interpretującem jest także drugie studjum o ostatniem dziele Klaczki, którego bohaterem jest, z poza tytułowej postaci na plan pierwszy się wysuwający, Michał Anioł Buonarotti. Streszczenie to jest wyborne, jako odczucie i odtworzenie zasadniczych rysów i momentów tego niepospolitego dzieła. Największą jednak wartość przedstawia studjum trzecie o „Krzyżakach“, arcydziełko odtwórcze, rzecz wyborna i jako wykład i jako styl, a pisana z głębokiem wniknięciem w omawiany przedmiot i z ciepłem wielkiem, godna jednem słowem i Sienkiewicza i Konopnickiej.

A. C.

*

Organizm jako społeczeństwo komórek. Odczyt K. Kulwiecia. Nakładem M. Arcta w Warszawie 1902.

Autor tej „Książki dla wszystkich“ stara się wykazać, że w organizmie zarówno ludzkim, jak zwierzęcym, odbywa się bezustanna praca komórek, z których organizm się składa, skojarzona solidarnością w działaniu i podniecana wzajemną konkurencją, że zatem w organizmie podobne panują stosunki, jak w społeczeństwie ludzkiem. Aby dopiąć zamierzonego celu, musiał p. K. Kulwieć w tym krótkim odczycie streścić ogromnie zwięźle całą histologję, czyli naukę o tkankach i komórkach, a nadto bardzo często czynić wycieczki do różnych dziedzin nauk przyrodniczych, jak: embrologji, fizjologji, anatomji porównawczej i t. d., a bardzo liczne szczegóły powiązać z sobą przez dosadne porównania.

Jeśli nie można przeczyć pożytku z popularyzacji nauk przyrodniczych, to z drugiej strony tak powierzchowne przebiegnięcie po rozległych terenach wiedzy ludzkiej z pewnością wielkiego pożytku nie sprawia, a czytelnik, nie obznajomiony z przedmiotami, o których mowa, najbłędniejsze wytwarza sobie pojęcia. To też odczyt p. Kulwiecia jest zajmującym dla lekarza lub przyrodnika, który przy tej sposobności przypomni sobie wiele znanych już dawno zjawisk i faktów i potrafi je sprowadzić do wspólnego mianownika jakiej filozoficznej teorji. Lecz dla profana odczyt p. Kulwiecia jest zbyt uczonym i wprowadza w labirynt nieznanych wyobrażeń, których nie uprzystępni żadne najdowcipniejsze nawet porównanie. *M.*

*

Alfred Pomian Kobierzycki. *Monografja Lublina.* Lublin 1901. Nakładem autora. Skład główny w księgarni W. Kiesewettera.

Wymieniona książeczka, nazwana szumnie „monografją“, zasługuje na bezwzględny bojkot ze strony ogółu, autor jej zaś na skarcenie surowe za nieposzanowanie cudzej własności. Lwia bowiem część książki, od str. 9 go 94, jest plagjatem tomu I. „Monografji Lublina“, wydanej w r. 1878 przez Wł. K. Zielińskiego. Książka ta tedy wyrządza wielką szkodę, bo raz daleko jej do nazwy monografji, kiedy w niej nader mało słyszymy o zabytkach lubelskich, po drugie jest plagjatem!

Podobną metodę widać i w doborze ilustracji. Dla przykładu wymienimy podobiznę obrazu A. Chełmońskiego „Powrót Napoleona z pod Moskwy“, którą p. Kobierzycki tytułuje: „Z pod Berezyny — u bram Lublina“. Słowem, fałsz oczywisty! Większa część rycin niema najmniejszego związku z Lublinem. Dla przykładu wymienimy chociażby tylko przeprawę Czarneckiego przez morze i śmierć Władysława Warneńczyka, żeby już nie wspominać o portretach prawie wszystkich królów polskich.

Lekceważenie sobie publiczności, czytającej książki, oraz bezsumienność autora — obie te cechy wyszły na jaw w omawianej książeczce z wymowną jaskrawością. *w. i.*

*

Podróż poślubna, utwór poetycki, przez Kazimierza Lubeckiego. Kraków 1902.

Autor odbył podróż poślubną — to nic dziwnego, ale za to osobliwszą jest rzeczą, że wrażeniami swoimi uważał za stosowne podzielić się z szerszem kołem czytelników. Dowiadujemy się więc, że p. Kazimierz Lubecki był we Wiedniu, we Włoszech, we Francji, w Niemczech, a potem na Czechy wrócił do Krakowa, gdzie, jak sam w książce oświadcza, spisywał swoje wrażenia „od listopada 1900 do sierpnia 1901“. — Zauważywszy coś w każdem mieście, przez które przejeżdżał, podzielił plon tych swoich uwag na poszczególne małe ustępy, uzupełnił je treścią własnej, miłością przepełnionej duszy i tak przygotowane podał do druku.

Cały tomik prezentuje się pokaźnie, wydany jest bowiem bardzo okazale w stylu modnie-secesyjnych akcydensów drukarskich, tak, że prawdziwy przynosi zaszczyt drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. *Fr. Jaw.*

SZTUKA. *Przewodnik Artystyczny* księgarni H. Altenberga. Ułożył i w krótkie objaśnienia historyczne zaopatrzył Adam Cybulski. Lwów 1902.

Ten starannie wydany tomik, drukowany u W. L. Anczyca w Krakowie, jest przedewszystkiem katalogiem reprodukcji z obrazów mistrzów klasycznych i współczesnych, obcych i polskich, znajdujących się na składzie u wydawcy, który, niedawno założywszy przy swej księgarni osobny dział sztuki, „Przewodnikiem“ pragnie ułatwić publiczności zorjentowanie się w tem, co dotąd jest reprodukowane artystycznie, więc już to jako fotografja węglowa, już to jako platynotypja, pigment, albo fotograwura. Po kolei więc idą tu po sobie: klasycy włoscy, niemieccy, flamandzcy, holenderscy, hiszpańscy, francuscy i angielscy, dalej ze współczesnego malarstwa: malarstwo angielskie i niemieckie (ze szczególnem uwzględnieniem Böcklina — 43 reprodukcyj wszystkich znakomitszych dzieł jego), a wreszcie malarstwo polskie. Każdy dział zaopatrzony jest w krótkie a treściwe objaśnienia historyczne, które wraz z ilustracjami (w liczbie 135), pomimo luk i braków nieuniknionych, składają się na rodzaj małej poglądowej historji malarstwa. Szczególną uwagę zwrócili naturalnie wydawcy na malarstwo polskie tak, że ich „Przewodnik“ daje po raz pierwszy wyczerpujący spis istniejących reprodukcyj artystycznych dzieł wszystkich malarzy polskich. Spotykamy tu, po krótkim rysie dziejów malarstwa polskiego od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej, a obok treściwych biografij jego przedstawicieli — szereg ilustracji, reprodukujących dzieła Grottgera, Matejki, Siemiradzkiego, J. Kossaka, Brandta, Kowalskiego, Fatała, W. Kossaka, Chełmońskiego, Pruszkowskiego, Malczewskiego i Podkowińskiego. Całość książki zamyka bibjografja ważniejszych dzieł polskich, oryginalnych i tłumaczonych, z zakresu estetyki, sztuk pięknych i t. d. Typograficzna strona książki, której okładkę zdobi reprodukcja „Błędnego koła“ Malczewskiego, zasługuje na pochwałę.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8